



Niebezpieczne piękno #3

NIEBEZPIECZNE

zagrywki

Finałowy tom trylogii!



J.T. GEISSINGER

Tytuł oryginału

Dangerous Games

Copyright © 2019 by J. T. Geissinger

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Korekta:

Elżbieta Wołoszyńska-Wiśniewska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Przygotowanie okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-415-4

J. T. GEISSINGER

NIEBEZPIECZNE ZAGRYWKI

NIEBEZPIECZNE PIĘKNO #3

TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA

OŚWIĘCIM 2023

*Dla mężczyzny z National City, który szantażem chciał
zdobyć mój pocałunek*

*Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam nie stał się potwo-
rem. Zaś gdy długo spoglądasz w bezdeń, spogląda bezdeń także w ciebie.*

Friedrich Nietzsche

*Nikt nas nie może uratować prócz nas samych. Nikt nie potrafi
i nikt nie uratuje. Musimy przejść tę drogę sami.*

Budda

*Mądra kobieta rzekła niegdyś: „jechać to chujstwo”, a potem żyła
długo i szczęśliwie.*

Anonim

ROZDZIAŁ 1

Eva

– Piśnij tylko, a ona umrze.

Dmitrij odzywa się swoim miękkim jak aksamit rosyjskim, wbijając łufę w skroń kobiety. Jego uśmiech dowodzi, że zakłada, iż będę wypełniała jego polecenia, bo tak nauczyło go doświadczenie.

To taka nasza stara gierka, świetnie ją znam. Nazywa się: „Rób, co mówię, bo jak nie, to ucierpi ktoś niewinny”.

Tym razem „niewinną” jest obca, przerażona kobieta z butelką wina w ręce, którą Dmitrij posłużył się jako przynętą. Kilka chwil temu, gdy zapytałam przez drzwi, przedstawiła mi się jako właścicielka mieszkania, w którym zameldowaliśmy się z Nazem. Być może to nawet prawda, ale pewnie nigdy się nie dowiem.

Bo za chwilę jej mózg rozpryska się po całej werandzie.

Przykro mi, proszę pani, ale jakiś czas temu przestałam słuchać rozkazów tego palanta.

Krzyczę jak dzika, ryk wydobywa się z mojego gardła niczym pazurzasta bestia o ostrych kłach.

– Naaaaaz!

Kobieta podskakuje ze strachu, upuszcza butelkę i zalewa się łzami.

Dmitrij zaś jest tak oszołomiony moim nieposłuszeństwem, że po prostu gapi się na mnie z niedowierzaniem.

Wykorzystuję zaskoczenie i kopię go z całej siły w jaja.

Zgina się w pół z rykiem bólu, ale nie wypuszcza broni. Kobieta zawodzi jak syrena przeciwpożarowa. Gdzieś za mną rozlega się krzyk Naza, spanikowany krzyk, ale moją uwagę przykuwa tętent ciężkich buciorów na drewnianych schodach do mieszkania na drugim poziomie. Udaje mi się wykrzyzczyć imię Naza jeszcze raz, a potem podest przed naszymi drzwiami wypełnia się uzbrojonymi, ubranymi na czarno mężczyznomi.

Ludzie Dmitrija wymierzają w moją twarz las luf.

Oczy kobiety uciekają w głąb czaszki; padając na korytarz, sąsiadka uderza potylicą w żelazną balustradę. Pada na bok nieprzytomna, z szeroko rozrzuconym nogami. Jej kraciasta podomka podwinęła się do góry, odsłaniając obwisłe uda o kolorze i strukturze zsiadłego mleka.

– Bierzcie ją! – syczy Dmitrij przez zaciśnięte zęby. Jego nie-ludzko błękitne oczy krzeszą iskry, ale nadal zgina się w pół i trzyma za krocze.

Odwracam się, chcę uciec, ale ktoś łapie mnie za koszulkę i mocno ciągnie. Uderzam plecami o coś twardego. Wokół mojego gardła zaciska się przypominające stalowy pręt przedramię. Krzyczę raz jeszcze, rzucam się i szarpie za rękę napastnika, ale powietrze więźnie mi w gardle, bo przedramię zaciska się jak imadło.

Gdy z sypialni wyskakuje Naz z pistoletem w dłoni, mam już gwiazdki przed oczyma.

Sunie ku mnie z bronią w wyciągniętej dłoni, goluteńki i nieziemsko boski.

– Ani kroku dalej! – krzyczy Dmitrij po angielsku.

Chyba doszedł do siebie po moim ataku na jądra, bo prostuje się gwałtownie i wbija mi lufę pod szczękę. Robi to z taką siłą, że moje dolne zęby uderzają o górne z nieprzyjemnym klekotem.

Naz zamiera. Ma czarne, oszalałe oczy. Mokre włosy. Cały ocieka, bo wyskoczył spod prysznica, jego ciało lśni, tors unosi się ciężko i opada z każdym oddechem.

Z każdym strudzonym, przepełnionym furia oddechem. Niemalże czuję smak tej furii. Jest ostry, metaliczny i tak mocno przesycza powietrze, że w każdej chwili może doprowadzić do samozapłonu i wybuchu.

Nastaje chwila naelektryzowanej ciszy, w której słycać tylko ostry oddech trzymającego mnie mężczyzny. Ma usta tak blisko mojego ucha, że owiewa gorącym powietrzem mój kark. Naz stawia ostrożny krok naprzód i w tym momencie Dmitrij mówi:

– Tak, podejdź bliżej. Jeśli chcesz, żeby zginęła.

Naz ponownie zamiera. Skupia się na Dmitriju z niesłychaną intensywnością, nie mruga, jego szczeka zamienia się w granitową sztabę. Chyba kompletnie nie przejmuje się własną nagością i faktem, że patrzy w lufy tuzina naładowanych pistoletów. Każdy mięsień jego potężnego ciała jest napięty, gotowy do ataku.

Jest wspaniały. Niczym Dawid rzucający wyzwanie Goliatowi, w jego oczach płonie światło pomsty.

Boże, błagam, niech tu dziś nie zginie!

Moje serce wali jak opętane, zerkam kątem oka na Dmitrija. Obdarza Naza przeciągłym, zimnym spojrzeniem, po czym zwraca się do mnie po rosyjsku:

– Przestań się rzucać i chodź ze mną spokojnie albo odstrzelę mu ten koński zwis.

– Jeżeli zginie, stracisz wszystkie atuty! – odpowiadam zduszonym z powodu nacisku na krtań głosem. Kaszlę, krztuszę się. – Zabicie cię stanie się moim jedynym życiowym celem!

– Evalino, podejrzewam, że już jest to twój jedyny cel. A przy okazji, mężczyzna może przeżyć odstrzelenie fiuta.

Cień uśmiechu na jego ustach wskazuje, że osobiście przeprowadził to paskudne doświadczenie i to nie raz.

– Strzelaj, Naz! Zabij gnoja!

Dmitrij posyła mi zabójcze spojrzenie.

– Nie dość, że nieposłuszeństwo, to jeszcze wyzwiska. Widzę, że muszę nauczyć cię manier od nowa.

– Jeżeli go zastrzełę, tamci zastrzelą ciebie – stwierdza Naza wi-brującym złością głosem.

– Ależ pan bystry, panie Mansouri – zwraca się do niego Dmitrij, przechodząc na angielski. – Zawsze był pan łebski, choć nieco krótkowzroczny. A teraz proszę pozwolić, że wyrażę się jasno, żeby uniknąć nieporozumień. Zabieram Evalinę. Należy do mnie. Jeżeli pan za nami podąży, spróbuje ukraść moją własność albo jakkolwiek będzie pan kombinował przy moim mieniu, Evalina zapłaci cenę. Będę odsyłał ją panu kawałek po kawałku, poczynawszy od języka. – Uśmiecha się okrutnie i dodaje: – Zapewne sam pan już odkrył, że to najmniej pożyteczna część jej ciała.

Powietrze wokół Naza skrzy się gniewem. Gdy na mnie spo-gląda, w jego oczach płoną całe planety. Jego wzrok mówi: *Kocham cię, zachowaj spokój.*

Ciekawe, czy dostrzega moją grozę i bezradność, zwielokrot-nione milion razy przez powstałą chwilę przed otwarciem drzwi świadomość, że mogę nosić jego dziecko.

Dmitrij rozkazuje swoim ludziom, by się wycofali. Wszyscy ruszają powoli, jak jednolity oddział. Facet, który mnie trzyma, ciągnie o jeden krok, a potem o drugi. Walczę z nim, desperacko wierzgając bosymi nogami, rozpaczliwie nabieram powietrza.

– Mówiłem, że masz się nie rzucać – rzuca ostro Dmitrij.

Gdy wymierza broń w Naza, nieruchomieje, a uwięziony w moim gardle krzyk grozy wyrывa się na wolność.

– Nie! Proszę!

Moje błagania sprawiają, że w głębi błękitnych węzowych oczu Dmitrija błyszczy coś obrzydliwego.

Właśnie tego ode mnie chce, zawsze tego chciał. Błagania. Sła-bości.

Strachu.

Karmi się nim, jak wampir krwią.

Dociera do mnie, że istnieje tylko jedno wyjście. Nigdy nie było innego, teraz widzę to wyraźnie. Te wszystkie miesiące ucieczek, ukrywania się, zakochiwania musiały zaprowadzić mnie z powrotem w to samo miejsce... w którym spojrzę w oczy najmroczniejszemu z moich demonów.

Możemy próbować pogrzebać przeszłość, ale niektóre zwłoki nie mają ochoty leżeć grzecznie w ziemi.

W pewnej mierze czuję ulgę. Już nie muszę się martwić o najgorsze, bo oto nadeszło. Teraz muszę już tylko się skupić i modlić o siłę.

– Obiecałam ci duszę w zamian za czas z nim – mówię po rosyjsku, żeby Naz nie zrozumiał. – Ale jeśli naciśniesz spust, nie dostaniesz jej, bo jeśli on zginie, ja również i cały twój wysiłek pójdzie na nic.

– Eva... – mówi Naz ostrzegawczo.

Może i nie zrozumiał słów, ale wyczuł po tonie, że próbuję handlować z Dmitrijem. Mam wrażenie, że moje serce zaraz skona.

– Nadal pamiętam, jak cię zadowolić... – mówię chrapliwie, patrząc Dmitrijowi w oczy.

Jego źrenice się rozszerzają, oblizuje wargi.

Stałam do bardzo niebezpiecznej gry. Do mrocznej, niebezpiecznej gry. Ale być może muszę myśleć o czymś więcej niż tylko o życiu Naza i moim, a im szybciej Dmitrij uwierzy, że stałam się w pełni uległa, tym szybciej znajdę sposób, jak przebić jego diabelskie serce kołkiem i uwolnić się od niego raz na zawsze.

Dmitrij zaciska moje włosy w garści i całuje mnie, wpychając mi język głęboko w usta.

Wiem, że to sprawdzian. Sprawdzian, który muszę zdać, bo inaczej Naz umrze, ale i tak muszę naprężyć całą siłę woli, by nie oderwać głowy i nie splunąć mu w twarz, by pozostać bierną

i nieruchomą, choć przez jego odrzucający smak wzbierają we mnie mdłości.

Gdy Naz wydaje z siebie dźwięk zwierzęcej wściekłości, Dmitrij odkleja się ode mnie i wybucha śmiechem.

– Och, zazdrosny kochanek! Ale ubaw. Będziesz przeżywał istne męki, prawda? Gdy będziesz sobie wyobrażał te wszystkie sposoby, na jakie będę ją pieprzył. Wszystkie metody, jakimi będę doprowadzał ją do krzyków i skamleń.

Naz rozdyma nozdrza. Jego pierś się rozrasta, usta zaciskają w cienką linię. Palce zaciskają wokół pistoletu.

Dmitrij śmieje się z zachwytem.

– Przykro mi, że nie mogę zostać i napawać się twoim cierpieniem, ale obawiam się, że musimy już lecieć. Mamy z Evą sporo do nadrobienia. I pamiętaj, co powiedziałem: jeśli za nami ruszysz, ona za to zapłaci.

Chcąc zaakcentować powagę tej groźby, wali mnie kolbą pistoletu w policzek.

Głowa odskakuje mi w bok, słyszę trzask pękającej kości, czuję, że coś gorącego spływa mi po policzku, ale nawet nie pisnęłam, bo wściekłość odebrała mi głos. Uginają się pode mną kolana, więc trzymający mnie od tyłu facet musi złapać mnie drugą ręką w talii, żebym się nie przewróciła.

Wydany przez Naza ryk bezsilnego gniewu podnosi wszystkie włoski na moim ciele.

A potem już nic słyszę, bo ogłusza mnie wystrzał.

Trzymający mnie oprych podrywa się do góry i zatacza w tył, puszczając mnie nagle. Gryzący swąd prochu drażni mój nos. Osłepiają mnie rozbłyski. Padam na czworaka, zdezorientowana nabieram ostro powietrza w płuca. Krew spływa deszczem na biały dywan, ale nie wiem, czy na pewno jest moja. Nie potrafię skupić wzroku w prawym oku, światło zaczyna ciemnieć.

Strzelanina trwa i trwa. Rzeczywistość nabiera cech snu. Wszystko staje się przytłumione i niewyraźne, jakbym patrzyła przez brudne okulary. Ktoś łapie mnie za kark i wywleka za próg, na schody przed mieszkaniem, a potem popycha mocno w plecy.

Przez chwilę chwieję się na szczycie schodów, nieważka, pozabawiona tchu. Grawitacja bierze jednak górę, przechylam się w przód, spadam wymachując rękoma, otwieram usta w niemym krzyku.

Uderzam w pierwszy schodek. Kość w lewej ręce pęka z przyprowadzającym o mdłości chrupnięciem. Świat wiruje. Toczę się dalej, mam wrażenie, że zahaczam o każdy stopień, dopóki nie ładuję plecami na twardej ziemi.

Walę czaszką o bezlitośnie twardy beton. Uderzenie wypycha mi powietrze z płuc, na moment ślepnę.

Kiedy wzrok powraca, patrzę w nocne, nakrapiane gwiazdami niebo. Głowa chyba mi się na boki. Pomiędzy żelaznymi prętami ogrodzenia na dole widzę szkliste spojrzenie wściekłego psiska, które miało nas ostrzec przed każdym niebezpieczeństwem.

Pies leży martwy w kałuży własnej krwi, pośrodku jego kosmatego czoła widnieje idealnie okrągła rana wlotowa.

Obmywa mnie potężna fala emocji. Żal nad tym biednym stworzeniem, które pechowo wpadło w sieć Dmitrija, i obrzydzenie do siebie samej, muchy, którą będzie ściągał po całym świecie. Gdyby nie ja, psisko nadal by żyło i z radością terroryzowało przechodniów zaciekle szczekaniem.

Gdyby nie ja, Naz byłby bezpieczny.

Gdyby nie ja, nie wydarzyłoby się wiele złego.

W tym momencie w mojej głowie odzywa się głos matki. Głos nagany, który często słyszałam w dzieciństwie.

Evalino, uzalenie się nad sobą to luksus, na który ludzie tacy jak my nie mogą sobie pozwolić. Nigdy się nad sobą nie uzalaj. To najbardziej bezużyteczna emocja i najbardziej uzależniający narkotyk. Jeżeli będziesz zbyt długo nurzać się we własnych żalach, to w końcu w nich utoniesz.

– Nie utonę – obiecuję martwemu psisku głosem słabym jak szept. – I przysięgam, że Dmitrij zapłaci za to, co ci zrobił.

Zmuszę go, by zapłacił za wszystko, co zrobił.

Noc wypełnia odległe wycie syren. Do mojej świadomości dociera, że w pobliżu są ludzie, szepczą między sobą zszokowani, zebrał się tłumek sąsiadów, chcących sprawdzić, co to za cholerne hałasy po nocy, ale nie ośmielają się podejść bliżej. Podnoszę wzrok i akurat zauważam Dmitrija, stacza się po schodach, trzymając za bok, ból wykrzywia mu twarz. Na górze pod drzwiami leży zwał ciał, ale dwóch ludzi Dmitrija nadal stoi na własnych nogach. Jeden z nich zarzuca sobie dłoń Dmitrija na bark i pomaga mu zejść. Drugi idzie prosto do mnie.

Podnosi mnie i przerzuca sobie przez bark.

Jęczę, prawie mdleję z bólu, ale jednak udaje mi się zachować przytomność.

– Szybciej! – krzyczy Dmitrij.

Bandyta niesie mnie do zaparkowanej po drugiej stronie ulicy furgonetki. Widzę obróconą do góry nogami klatkę schodową, liczę, że z otwartych drzwi mieszkania zaraz wyłoni się Naz, ale nikt się nie pojawia. Nie ma go też w oknie, nocy nie przeszywa echo jego głosu.

Cierpienie przeszywa mnie jak miecz.

Nie! Naz! NIE!

Słyszę odgłos odsuwania ciężkich drzwi na metalowej suwnicy, chwilę później bandzior wrzuca mnie do zimnej, ciemnej furgonetki. Zatrząskuje drzwi. Zasuwiają się z ponurą ostatecznością jak wieko trumny.

Rozglądam się gorączkowo. Nie ma żadnych okien. Od podłogi do sufitu ciągnie się gęsta siatka, więżąc mnie w bardzo ciasnej przestrzeni.

Znajduję w sobie siłę, by wykrzyknąć w ten mrok imię Naza, ale odpowiadają mi tylko dźwięki otwierania i zamykania drzwi z przodu pojazdu. Gdy silnik furgonetki ożywa, ryczę jego imię ile sił w płucach, ochryple i desperacko, serce obija się o żebra, w żyłach płonie strach.

Samochód rusza z piskiem opon. Z przodu dobiega do mnie głos Dmitrija, ale równie dobrze może dochodzić z mojego najbardziej przerażającego koszmaru.

– Evalina, możesz już o nim zapomnieć. Już nie przyjdzie ci z pomocą. Nie żyje.

Pędzimy w noc, mroczny śmiech Dmitrija stanowi makabryczne tło dla moich opętańczych krzyków.

ROZDZIAŁ 2

Eva

Jedziemy. Mam wrażenie, że tkwię w tym lodowym kokonie ciemności sto lat. Przez cały czas oddycham panicznie zwinięta w kulkę i patrzę tępo szeroko otwartymi oczyma, a mój umysł pędzi niczym chomik w kołowrotku wyparcia.

Naz nie mógł zginąć. Dmitrij kłamie.

Ale przecież gdyby żył, to nie pozwoliłby ci odejść.

Na pewno został ranny. Tak, na pewno... został ranny, więc nie zdążył ukazać się w drzwiach i za nami podążyć. Ale wkrótce po mnie przyjdzie. Zawsze po mnie przychodzi. Obiecał, że zawsze będzie mnie chronił.

Głupia. Trupy nie dotrzymują obietnic.

Furgonetka w końcu ostro hamuje. Drzwi z przodu otwierają się i zamykają. Gdzieś z zewnątrz dobiega szmer męskich głosów, a potem odsuwają się tylne drzwi.

Wyciąga mnie ten sam żołnierz Dmitrija, który mnie tu wrzucił. Zauważa, jak nienaturalnie odgięta jest moja ręka, więc obchodzi się ze mną nieco ostrożniej niż wcześniej. Przyciskam rękę do piersi, pozwalam, by pomógł mi wysiąść z samochodu, staję na własnych nogach.

Znajdujemy się na małym lądowisku pośrodku równiny, która ciągnie się jak okiem sięgnąć w czern. Czern o nasyceniu czerni mojej duszy. Kilkadziesiąt metrów dalej czeka lśniący odrzutowiec z uruchomionymi silnikami i przygotowanymi schodami.

– Idź. Czeka na ciebie – mówi bandzior.

Gdy spoglądam mu w twarz, wyraźnie się krzywi. Pewnie wyglądam jak śmierć. Ta myśl daje mi poczucie wisielczej satysfakcji.

Nie próbuję uciekać. Nie ma dokąd. Kroczę ku czekającemu mnie losowi, przeznaczeniu, przed którym nie sposób umknąć, zostawiając daleko za sobą wszystko, co dobrego spotkało mnie w życiu.

Może nie wszystko, szepcze zaciekle głos w mojej głowie. Nie ma żadnych dowodów, że Naz zginął, ale nawet jeśli, to może nosisz w sobie jego dziecko. Nie poddawaj się jeszcze.

Zamykam oczy, przelękam ślinę przez sztywne jak skała gardło. Wzbiera we mnie udreka, która niemal uniemożliwia zaczerpnięcie oddechu. Nadzieja to bez wątpienia najgorsze ze wszystkich okropieństw, jakie może zaserwować nam życie.

– *Gospoża?* – rzuca pytająco żołnierz.

To znaczy „pani”. Pełna szacunku, uprzejma forma zwrotu do kobiety. Gdy wiodłam życie faworyty Dmitrija, wszystkie jego służusy tak się do mnie zwracały.

Wygląda na to, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

Ale inne wręcz przeciwnie.

Nie jestem już tamtą dziewczyną. Dziewczyną, która uciekła od potwora i zakochała się w bogu. Na rękach mam krew, w sercu pustkowie, a w mózgu wypalone wspomnienie pięknego uśmiechu Naza. I Dmitrij Ivanov pożałuje, że to wspomnienie powstało w moim umyśle.

Bo jest niczym paliwo, które będzie mnie napędzało, dopóki nie spalę świata Dmitrija do gołej ziemi.

Otwieram oczy, prostuję plecy, na ile mogę, biorę głęboki, uspokajający wdech i powoli wypuszczam powietrze.

– Jestem gotowa.

Przez twarz żołnierza przemyka dziwny cień.
Pewnie tylko to sobie wyobraziłam, ale wyglądał jak cień strachu.

Wnętrze samolotu mogłoby służyć za definicję pojęcia *ostentacja*. Wszędzie pełno czarnej skóry, czarnego lakieru i złocień, nie licząc grubego, pluszowego dywanu barwy krwi. Na jednej ścianie widnieje wymalowany herb rodu Ivanovów, czyli złota zakrzywiona korona z klejnotami, zwieńczona krzyżem, na tle żółto-niebieskiej szachownicy.

Spoglądam na herb i spluwam na dywan.

– Czy to kolejny nowo nabyty zły nawyk? – pyta Dmitrij.
– Czekam na mnóstwo pracy.

Siedzi sztywno w fotelu po drugiej stronie kabiny, zaraz przy zamkniętych drzwiach do kokpitu. Jest blady i spocony. Widniejąca pod rozpiętą marynarką czarna koszula jest nasączona jego krwią.

– O ile najpierw nie wykończy cię ta rana.

– Doskonale wiesz, że byle postrzał mnie nie zabije – odpowiada z zimnym uśmiechem.

Pomimo rany jest opanowany. Nawet nie rozluźnił krawata pod szyją.

Powinam być przerażona albo wściekła, albo... doświadczać czegoś poza tym dziwnym poczuciem spokojnego oderwania od rzeczywistości. To pewnie szok. A może mój mózg skupia całe siły przerobowe na zwalczaniu cierpienia wywołanego złamaniem ręki i potłuczeniami twarzy, która zdążyła napuchnąć tak bardzo, że nie widzę na prawe oko.

– Siadaj – rozkazuje – niech ci się przyjrzę.

Przez chwilę waham się w bezużytecznym przejawie buntu, ale potem siadam naprzeciwko niego i uważając na rękę, zata-

piam się w miękkiej jak masło czarnej skórce. Następnie podnoszę wzrok, spoglądam mu prosto w oczy i po prostu patrzę.

Te czerwone usta, wydatne i wydęte, jak u dziewczyny. Te połyskujące blond włosy. Ta klasycznie przystojna twarz, delikatna i arystokratyczna, ma w sobie coś niewinnego, jest przyjemnie symetryczna.

Lucyfer, zanim zdradził Boga i został strącony z nieba, był ponoć najpiękniejszym z aniołów. Naprzeciw mnie siedzi niezbity dowód, że najcudniejsze piękno może skrywać największe zło.

– Najpierw prawda – zwraca się do mnie po dłuższej chwili.
– Wiedziałaś, że cię znajdę. Tak czy nie.

Wdech. Wydech. Tłumię ochotę, by skrzeczeć i obnażyć zęby, jak te nieumarłe potwory z horrorów, łaknące ludzkich mózgów.

– Tak.

Boże, ten przyprawiający o mdłości uśmiech. Ten przyprawiający o mdłości uśmiech samozadowolenia.

– Evalina, czy ty w ogóle wiesz, dlaczego zawsze byłaś moją ulubienicą? Dlaczego ścigałbym cię nawet na drugim końcu świata i dokładał wszelkich starań, żeby cię odzyskać, choć o tyle prościej byłoby po prostu się ciebie pozbyć?

Zastanawiam się. Potwór jest we wspańiałomyślnym nastroju, człowiek, którego kocham, być może nie żyje, a cały mój świat zasypały popioły, więc mogę doprowadzić tę mroczną gierkę do końca.

– Bo nie możesz znieść myśli, że straciłeś coś swojego?

– Nie.

Nie dodaje nic więcej, więc pytam:

– To pytanie wielokrotnego wyboru czy też łaskawie zdradzisz mi odpowiedź?

– Ponieważ ze wszystkich kobiet, jakie miałem, tylko ty okazałaś się niezłomna.

Niezlomna.

W jego tonie pobrzmiwa tęsknota za nieosiągniętym celem, ekscytacja myśliwego opowiadającego o tygrysie ludojadzie, którego pragnie złowić, wypchać i powiesić nad kominkiem. Przetykam ślinę i przechodzi mnie lekki dreszcz. Uśmiech Dmitrija staje się złowieszczy.

– Uginająca się na wietrze trzcina jest silniejsza niż potężny dąb, który łamie się podczas burzy. Konfucjusz tak powiedział.

– Jakże pouczające.

Ignoruje mój cierpki sarkazm.

– Jesteś moją trzcina. Dostrzegłem to od razu, gdy cię ujrzałem. To było tyle lat temu, tańczyłaś tam, na scenie Teatru Maryjskiego i moje serce nagle stanęło. Bo wiedziałem, że znalazłem to, czego szukałem.

Wykrzywiam twarz z niesmakiem, mój żołądek skręca się w supeł.

– Niewolnicę?

– Nie... – Wzdycha, a w jego oczach pojawia się błysk. – Równą sobie.

Parskam krótkim, jędzowatym śmiechem.

– Abstrahując na moment od tych bzdur, trzymałeś mnie jak psa. W klatce. Założyłeś mi obrozę. Robiłeś mi niewysłowione rzeczy, nadal je czuje, teraz, gdy siedzę i rozmawiamy. Nie próbuj dorabiać ideologii do prostej prawdy: podnieca cię mój ból.

– Próba ognia – stwierdza spokojnie. – Jeżeli chcesz sprawdzić, czy glina, którą formujesz, wytrzyma, musisz wsadzić ją do pieca, inaczej się nie da.

Patrzę na niego z obrzydzeniem, które ustępuje jedynie mojemu niedowierzaniu.

– Czyli jestem garnkiem, a ty garncarzem?

– Przyznaję, że to dość toporne porównanie.

– Kompletnie ci odbiło. Wiesz o tym, prawda? – pytam, po czym pry cham.

– Tak? Spójrz na siebie. Siedzisz tu opanowana, wręcz krnąbrna, choć ewidentnie masz złamaną przynajmniej jedną kość, zasłonięte opuchlizną oko, a twój kochanek dopiero co zginął na twoich oczach. Gdyby nie spędzone ze mną lata, prawdopodobnie ślęczałabyś zwinięta w kącie, całkowicie otępieła z bólu i żalu.

„Twój kochanek zginął na twoich oczach”.

Eva, oddychaj. To księżę kłamstw. Po prostu oddychaj.

– Czyli uważasz, że powinnam ci podziękować – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Leniwie przesuwa po mnie wzrokiem.

– Później będziesz miała okazję okazać wdzięczność.

– Och, coś ci później okażę, bez dwóch zdań, ale nie będzie to wdzięczność.

Przechyla głowę na bok i przygląda się mojej minie z zaciekawieniem naukowca.

– Ty naprawdę go kochałaś, prawda?

Kochałaś, czas przeszły. Jeżeli kłamię, to bardzo się pilnuje.

Na moment muszę odwrócić wzrok, żeby wziąć się w garść. Wolałabym skonać, niż się przed nim rozplakać.

– Już ci powiedziałam, co się stanie, gdy stracisz ten atut – odzywam się głosem stłamszonym nienawiścią.

– Zgadza się. Że zabicie mnie będzie twoim jedynym życiowym celem. Przerazające – odpowiada znudzonym tonem. Po chwili pyta: – Dlaczego się uśmiechasz?

Obracam głowę i znowu patrzę mu w oczy.

– Lekceważysz mnie, będzie tym zabawniej.

Spodziewam się z jego strony furii, a otrzymuję coś bliższego podnieceniu.

Nachyla się i zamyka moją złamaną rękę w żelaznym uchwycie, rozrywa mnie straceńcze wycie cierpienia.

Zwleka mnie z fotela na podłogę i nachyla się jeszcze bliżej.

– Oj tak, kochana, będziemy się bawili na wszelkie sposoby – szepcze gardłowo, gdy wije się z bólu u jego stóp. – Poczekaj cierpliwie, sama zobaczysz.

– Och, przepraszam pana.

Po naszej lewej, w przejściu między fotelami, pojawia się mężczyzna. Łysieje, ma okulary, elegancki błękitny garnitur i wyglansowane oksfordy. Trzyma w ręce sporą czarną torbę. Wygląda jak księgowy.

Dmitrij puszcza moją rękę i rozluźnia się w fotelu, ale najpierw wymierza mi kopniaka, po którym rozplaszczam się na podłodze. Przewracam się na plecy, jęczę z cierpiętniczego bólu, staram się nie zwymiotować.

Mężczyzna z torbą patrzy na mnie beznamiętnie.

– Nie przejmuj się nią. Obejrzyj to – mówi do niego Dmitrij.

Wstaje, zrzuca marynarkę, poluzowuje krawat i ściąga go przez głowę, po czym rozpina koszulę. Rzucą te części garderoby na zajmowany przeze mnie chwilę temu fotel i pozwala człowiekowi z torbą zbadać dziurę w bocznej części brzucha.

Ja wielokrotnie przetykam ślinę, duszę się własnymi jękami, przyciskam rękę do ciała i z całych sił staram się zachować przytomność. Ból jest tak silny, że nie jestem w stanie skupić się na niczym innym. Istnieje tylko rozpalony do białości ośrodek cierpienia, który przyćmiewa wszystko inne.

Uruchamia się prastary nawyk. Chowam się do kryjówki głęboko w umyśle, w której nic nie może mnie osiągnąć. Odkryłam to miejsce pewnej nocy w szpitalu, w pierwszym przerażającym roku z Dmitrijem, to małe, ciemne miejsce odosobnienia, które zapewniało mi przetrwanie.

Rechtot zadowolenia Dmitrija dobiega do mnie jakby z oddali.
– Tak, właśnie tak, mała trzcinko. Ugnij się, no już.
Dokłada mi jeszcze jeden brutalny kopniak.

Z głośników odrzutowca rozlega się koncert fortepianowy Rachmaninowa. Lekarz opatruje ranę Dmitrija, a ja leżę na podłodze skulona, pozbawiona życia, niczym uschnięty liść, który opadł z gałęzi wraz z nadejściem zimy.

Tyle że życie wciąż się we mnie tli. Żyję. W więzieniu mego poturbowanego ciała wciąż bije serce.

Naz. Naz. Naz.

Każde ciężkie łupnięcie wygrywa jego imię. Wszystkie kości i ścięgna wyją za nim z tęsknoty. Każdy oddech niesie świadectwo niemożności istnienia w świecie, w którym nie ma go u mego boku.

Ale czy to prawda? Może on też gdzieś tam żyje i oddycha, i rozpaczliwie chce mnie odszukać? Czy ten mój żal to tylko kolejny ponury ruch w prowadzonej przez Dmitrija partii szachów?

Niewiedza jest torturą. Zaciskam mocniej powieki, przełykam ślinę i tłumię skowyt bólu.

– Nastaw jej tę rękę i zobacz twarz – rozkazuje Dmitrij lekarzowi, który musiał już skończyć z jego raną. – Ale żadnych środków przeciwbólowych. Jeszcze na nie nie zasłużyła.

Mężczyzna mruczy coś posłusznie. Nie brzmi ani na zaskoczonego, ani oburzonego, jest całkowicie uległy. To człowiek przywykły do towarzystwa bólu innych.

Czuję na ramieniu lekki dotyk. Nie reaguję, więc mężczyzna mówi:

– Będzie nam łatwiej, jeśli usiądziesz.

Jego ton brzmi wręcz gawędziarsko i beztrosko. Nastawi mi tę kość, nawet jeśli nie będę współpracowała. Rozważam, czy się podporządkować, czy lepiej kopnąć go w jaja, gdy wtem w zakamarku mojego umysłu znów rozbrzmiewa ta okropna nadzieja. Przypomina mi, że rozsądniej zachować siły do walki, gdy będą naprawdę potrzebne.

Otwieram oczy, tłumię kolejny jęk bólu i podnoszę się lekko. Opieram się o bok fotelu, podciągam kolana nieco wyżej i patrzę na lekarza. Kuca przede mną, przygląda się przedramieniu. Jest czarno-sine, groteskowo opuchłe i wygięte pod wstrętym kątem. Dmitrij stoi kawałek dalej, zapina świeżą koszulę, jest zabandażowany w talii.

Jeden kącik ust ma wyraźnie wygięty.

Od razu rozpoznaję tę wymowną pozę. To wyczekiwanie. Nie może się doczekać wrzasków mojego bólu.

Bezduśny gnoju. Już nigdy, przenigdy nie wydusisz ze mnie ani jednego krzyku.

Jeżeli serce może zamienić się w kamień, to moje właśnie skamieniało.

– Najpierw ręka – mówię, patrząc lekarzowi w oczy, ale on mruży lekceważąco i kręci głową.

– Najpierw powinienem oczyścić i zszyć to rozcięcie pod okiem. Jak zacznę od ręki, to mi tu zemdlejesz, zanim dojdziemy do twarzy.

– Najpierw. Ręka – powtarzam, patrząc na Dmitrija.

Delikatne wygięcie kącika ust niknie, zastępuje je grymas niezadowolenia.

Kończy zapinać koszulę, wsadza ją za pasek, zawiązuje i poprawia krawat, zaciskając go mocno pod szyją. Potem siada, zarzuca nogę na nogę, wygładza krawat na piersi, kładzie swobodnie ręce na podłokietnikach i patrzy na mnie.

Gdy lekarz przesuwa palcami wzdłuż mojego przedramienia, szybko i sprawnie oceniając uraz, a potem przyklada kciuk i palec wskazując do nadgarstka, żeby sprawdzić mi puls, patrzę Dmitrijowi prosto w oczy. Ból przeszywa mnie klującymi, mdłącymi falami, ale nie odklejam oczu od Dmitrija. Także wtedy, gdy lekarz mówi:

– Zamknięte złamanie proksymalne kości łokciowej i promieniowej. Masz szczęście, że kości nie przebiły skóry. Poruszaj palcami.

Ruszam wszystkimi pięcioma palcami, ciągle patrząc na Dmitrija.

Jego oczy nic nie zdradzają, a mina i postawa są błogo odprężone. Zdradza go tylko jeden palec. Palec wskazujący jego prawej ręki zaczyna wybijać na podłokietniku spokojny, miarowy rytm.

– Wygląda na to, że nerwy są nienaruszone – stwierdza lekarz. – Jeżeli się okaże, że potrzebujesz operacji, to będzie możliwa dopiero po zejściu opuchlizny, tymczasem nastawię ci kości. Zaboli. Powiedz, gdy będziesz gotowa.

Nie będę krzyczała. Nie pozwolę sobie na krzyki. Nie. Będę. Krzyczała.

– Jestem got...

Lekarz szarpie i ustawia złamane kości we właściwej pozycji, zanim zdążyłam dokończyć.

Zalewa mnie pustynny żar. Cała krew odpływa mi z twarzy. Biorę ostry wdech, wytrzeszczam oczy. Ból jest tak potężny, że zaraz chyba zwalę się na bok.

Ale zamiast tego zginam się w pół i wymiotuję na krwistoczerwony dywan.

Pluję i charczę, tymczasem on cierpliwie klęczy obok mnie w swoim błękitnym garniturze i trzyma moją rękę. Gdy mój żo-

ładek jest całkiem pusty, ponownie siadam prosto, ciężko dy-
sząc. Trzęsę się. Po czole spływają mi strużki zimnego potu, do-
cierają do oczu.

– Widzę, że jadłś warzywa na obiad – stwierdza nieporuszony
reakcją mojego organizmu lekarz.

– Zupę jarzynową – uściślam ochryple.

Dmitrij nadal na mnie patrzy, ale jego palec zamarł w bezru-
chu, a kącik jego ust znowu wygiął się do góry.

Mechaniczne schody samolotu się składają, drzwi do kabiny
zamykają. Silniki zawodzą głośniejsze. Lekarz układa moją rękę na
łubkach i przygotowuje schludny temblak, a następnie wyciąga
z torby buteleczkę płynu odkażającego i kawałek gazy, po czym
zaczyna wycierać moją twarz.

W tym momencie zza czarnej, aksamitnej zasłony w tylnej czę-
ści samolotu wyłania się piękna stewardessa o kruczoczarnych
włosach, ma na sobie króciutką spódniczkę i wysokie szpilki.

Patrzy na mnie. Patrzy na lekarza. Patrzy na Dmitrija, a potem
na kałużę żółtawych wymiocin. Następnie, ze szklistym spojrze-
niem i obojętną miną typową dla ludzi, na których takie horrory
nie robią wrażenia, bo zdążyli do nich przywyknąć, mówi:

– Zaraz startujemy. Posprzątam ten bałagan. Czy ktoś ma
ochotę na drinka?

– Otwórzmy dużą butelkę Cristala – odpowiada Dmitrij.

– Mam ochotę poświętować. Moja zaginiona owieczka znowu
odnalazła drogę do domu.

Na jego ustach zakwita leniwy, zły uśmiech.

Samolot startuje. Lekarz zszywa rozcięcie na policzku, a potem
nатыchmiast zasypia w fotelu przy oknie. Stewardessa zmywa

moje wymiociny z dywanu, podaje Dmitrijowi szampana, a potem pada przed nim na kolana i rozpina mu spodnie.

Dmitrij obserwuje mnie spod lekko spuszczonej powiek, znad krawędzi kryształowego baccarata do szampana, podczas gdy ona bierze w usta jego stojącego członka. Szarpie ją za włosy i wpycha go najgłębiej jak może, aż kobieta się krztusi.

Oto wracam do wynaturzonego królestwa szalonego potwora.